Obraz ziemi polskiej za Piastów.

(Dokończenie).

Chmury niemniej stworzeń pierzastych zaludniały każde bagno, każdą dąbrowę. Orle gniazda bywały wskazówkami dróg leśnych. Gdy wiosenne słońce zagrzało, rozbrzmiewały modrzewiowe gaje i wybrzeża nadwiślańskie gwarnym chórem ptasząt. Na zabój szła walka myśliwska z drapieństwem ptaszem. Jeden z najprzykrzejszych ciężarów starożytnego prawa był obowiązek żywienia sokołów.

Ile miodonośnego owadu! ile pszczół! Żaden kraj europejski nie dorównywał w tej mierze okolicom Nadbałtyckim. Kwitnęły tam jakieś szczególnie słodkie kwiaty, woniały ogromne lasy lipowe, rozkosz pszczół, odwdzięczających się słynnym miodem — lipcem. Lada wydrążony pień służył za ul, lada bór był pasieką. Całe osady gdzieniegdzie trudniły się wyłącznie pszczelnictwem. Uchodził miód, podobnie jak futra kosztowne, za rodzaj bieżącej monety — niektóre winy sądowe opłacano miodem; woskowe krążki i świece stanowiły także zwyczajne kary duchowne i ofiary kościelne. Wosk był głównym przedmiotem handlu. Odpowiednia temu mnogość bartników, bartodziejów, urządziła się w osobne towarzystwa. Każdy pan zamożniejszy trzymał w swych włościach przełożonego nad czeladzią bartniczą, zwanego starostą miodowym. Było i osobne prawo bartnicze.

Pszczoła wprowadza nas wreszcie ze stron bagnistych w kraj. Jak Wielkopolska po większej części płynęła jeziorem lub tonęła w bagnie, tak Małopolska i Mazowsze szumiały lasem. Ale nie było to potrzebione, poprzecinane, widne lasy dzisiejsze. O pół tysiąca lat pierwiastkowej przyrodzie bliższa, niezmiernymi przestrzeniami aż po dalekie rozpościerające się góry, zawierała puszcza ówczesna albo zupełnie już nieznane, albo nadzwyczaj rzadkie u nas rodzaje drzew olbrzymich i szlachetnych. Gdzież dziś one starodawne lasy modrzewiów, gaje cisowe, ogromne lipowe bory? Nad dolną Wisłą zieleniały niegdyś drzewa, których dziś wcale niema. Dalej ku wschodowi podziwiano jakby ruiny odwieczne puszcz, których rodzaju już w ówczas nikt oznaczyć nie umiał. Bory Nadbużańskie zdumiewały skamieniałościami drzewnymi, których początek został zagadką. Do powszednich bardzo należały dęby, którym po półtysiąca i więcej lat rość było trzeba. Takie zwyczajne drzewa miały potworną objętość i rozłożystość. W ich wnętrzu wykruszonem mógł nie raz jeździec czynić wygodne obroty konne. Za swoich młodszych czasów dźwigały one niekiedy całe baszty z rycerstwem, zbudowane na ich konarach. Ów kszyżacki kasztel Vogelsang był właśnie taką twierdzą w ramionach dębu. Użyte do kolosalnych machin wojennych, burzyły swoim ogromem olbrzymie mury grodów. Bliższe pożycie z przyrodą leśną uczyło w mowie powszedniej rozróżniać leśną roślinność. Las w ogóle znaczył mieszaninę drzew rozmaitych, rozpościerającą się po większej części na gruntach mokrych — obejmował pospołu dęby, jasiony, wiązy, buki, sosny, i t.p. Czarnym lasem czyli borem nazywał się las szpilkowy. Właściwa puszcza zawierała liściowe pomniejsza zwała się smugiem. Las opieczysko zwany, miewał piece do wyrabiania smoły, potażu, ważniejszych przedmiotów handlu. Wyrażano się niezrozumiałym dziś sposobem o gajach, gdzie mało jest lasów, tu szumiał świerleniec, owdzie smoleń, tam gorzechowo. Pomiędzy młodszym porostem trupieszały gdzieniedzie starce, pamiętające przechód Gotów i Longobardów. Zapewne nie żyje już stary Cynoda, runął dąb nazwiskiem Płon, ale za Łokietka i Jagiełły oddawano im głęboką cześć jako drzewom granicznym, nacechowanym zwykle ciosnami czyli znakami krzyża św., Śród Niepołomskiej puszczy pokazywano siwe dęby, pod którymi według podania jakiś król Polski, zapewnie Kazimierz W., sądy odprawiał. U stóp Bieskidu, w Dąbrowicy, wznosił się podziwu godny dąb, z pomiędzy którego korzeni wytryskały źródła trzech wielkich rzek, Dniestru, Sanu i Cisy.

Nie ludziom jednakże właściwą las dziedziną — to ojczyzna dzikiego zwierza. Nie było mu też liczby w puszczach ówczesnych. W cieniu owych olbrzymich drzew przechadzały się nieznane dziś albo już wymierające rodzaje zwierząt. Ze surowszym dla mnogości lasów i jezior klimatem onego czasu, zgadzają się domysły o renach, są wzmianki urzędowe o sobolach, byt turów, żubrów, rysiów, koni dzikich, nie ulega wątpliwości. Słoniowego ogromu tur pasł się spokojnie w lasach Mazowsza, polowali nań sami książęta. Najupodobańszą po nim zwierzyną był szerokołby, trzech ludzi pomiędzy swymi rogami pomieścić mogący żubr. Tygrysiej barwy, i tygrysem zwany ryś, nęcił drogiem, centkowanem futrem. Koń dziki, jeszcze we wieku XV pospolity litewskich lasów mieszkaniec, środkował między koniem a osłem. Całe stada łosiów ubijano i solono w czasie wyprawy myśliwskiej. Niedźwiedzie, oddane wraz z dzikami na wolną pastwę łowców, wyprowadzano żywcem w świat. W dobrach klasztornych trzymano je na stajni. Zdala od nich kąpały się w jeziorach leśnych niezliczone stada płochliwych sarn. Co za roskosz dla wędrownego myśliwca, obaczyć niespodzianie taką kąpiel jelenią! Mnogość odyńców, wilków, lisów, kóz dzikich, zacieśniała sobie wzajem świat leśny.

Kto nie chciał niebywał wtedy myśliwym. Dorywcze polowania były zazwyczaj każdemu wolne; tylko grubego zwierza poczytywano za wyłączną własność pańską, albo królewską. Panowie i szlachta utrzymywali wojska myśliwych. Urząd łowczych wszedł później w liczbę dostojeństw ziemskich. Każda wieś polska miała obowiązek żywić psy, sokoły, podejmować wędrownych łowców. Całe osady szły z prawa na obławę czyli przełaję. Pomiędzy myśliwymi wykształcił się osobny język myśliwski, przekazywany pod tajemnicą młodszym wychowańcom zawodu. Po stósownem haśle, po trafnej odpowiedzi, rozeznawali się w zielonej pustyni borów rzetelni łowcy od frantów, przyjaciele od nieprzyjaciół. Było to życie swobodne, pełne przygód i namiętnego powabu. Owoce trudów myśliwskich przynosiły wieloraki pozytek.

Łatwiej pojąć dalszą wynikłość ówczesnej lesistości kraju, obfitość łąk i pastwisk. Na niej polegał zamożniejszy chów bydła. We wiekach kwitnącego rybołowstwa i myśliwstwa kwitnęło także życie pasterskie. Łąka znaczyła więcej niż rola. Liczne nazwy Koninów, Koniusz, Koniuch, Koniuszek, Końskich, Końskich wól, są tylko zabytkiem osad oddanych pierwiastkowo wyłącznemu chodowaniu stadnin. Nie małem bogactwem były owce — materye wełniane powszechniejsze od płócien, szły w daleki handel za granicę.

O tyle odmienny kierunek nadawało pracy ludzkiej odmienne w ówczas oblicze ziemi. W ogólności miała ona dzikszą surowszą postać. Dłuższe niż dziś pory zimowe srożyły się nadzwyczaj tęgimi mrozy — cudzoziemcy zachodni opowiadali dziwy o bałtyckiej zimie. Co żyło, chodziło zimą i latem we futrach najrozmaitszego rodzaju. Futra były potrzebą, były i przepychem. W porach letnich panowały wichry, wylewy i posuchy. Od suszy znikały wody w strumieniach, paliło się zboże na pniu. Powstawał stąd często głód i mór.

Nie pojąć nam prawie ówczesnej pracowitości. Od najdawniejszych wieków słynęło nią plemię słowiańskie. Nigdy się Słowianin nie wykupował od pracy. Kupiectwo uważano za rodzaj włóczęgostwa i lenistwa: przeciwnie praca, zwłaszcza około ziemi, czyniła zaszczyt. Przy ówczesnej dość rzadkiej ludności, obstała niezmierna ilość mostów, grobel, przekopów, wałów, za olbrzymie ruiny pogańskiej starożytności. Porosłe dziś dzikim lasem wały i kopce niegdyś zamkowe, kościółki odwieczne z ciosanych twardych kamieni, ruiny zameczków w lesie, możnaby (opowiada mieszkaniec poniża Wisły) przyrównać do dzieł dawnych Cyklopów. Pod ziemią, owszem pod jeziorami, wśród których stały te zamki, ciągnęły się miejscami według upewnienia dzisiejszych mieszkańców, długie kamienne sklepienia prowadzące do gęstych zarośli i jarów za jeziorem. Rozległe przestrzenie umiano w krótkiej chwili utwierdzić kilkomilowym wałem i olbrzymim łańcuchem rowów spajających jeziora odległe. Starodawnym łożyskom rzek nadawano dogodniejszy kierunek. Wszędy mocował się oręż rolniczy ze ziemią leśną. Za czasów Króla Kazimierza (mówi świadek ówczesny) powstało w lasach, puszczach, dąbrowach i zagaiskach prawie drugie tyle wsi i miasteczek, ile ich przedtem było w całym kraju.

Pracując nad przerzedzeniem drzew leśnych, zaszczepiano troskliwie owocowe. Cała Małopolska napełniła się wonnymi sady, kędy kwitnęły wiśnie, śliwy, jabłonie. Samotnie rosnące grusze służyły zwykle na znaki graniczne. W tęż porę weszło we zwyczaj szczepienie winnic. We wszystkich zakątkach kraju, na Szląsku, około Pyzdr, Kalisza, Torunia, Uniejowa, Melsztyna, sadzono szczepy winne. Ślady Piastowskich i Jagielońskich winnic dochowały się do naszych czasów. Kto uprawą wina zatrudniać się nie chciał, pracował w gęstych owego czasu chmielnikach. Przedzierano się i do wnętrza ziemi po zdobycz kurszcową — poszukiwano starannie wszelkiego rodzaju kruszców. Cała Małopolska mniemała, że stąpa po soli, srebrze i miedzi. Wydobywano nawet w górach małopolskich (około wsi Łącka) wielkie bryły złota. Handel solą, ołowiem, miedzią, był jeden z walnych źródeł bogactwa.

Skutków tak wielorakiej skrzętności i pracowitości doznał jednocześnie charakter ludu roboczego i sama ziemia. Lud wykształcił w sobie dziwną rzeźkość, ruchliwość, przedsiębiorczość. Ziemia przybrała świetniejszą i powabniejszą postać — osobliwie Małopolska przeobraziła się w piękną, żyzną i zdrową krainę. W roskosznych sadach między Wisłą i Odrą kwitnęły róże po dwa razy do roku. Miłośnicy kwiatów upajali się na śmierć ich wonią. Miłośnikom brogów polnych uśmiechała się żyzna gleba. Zamożni i dobrze żywieni ziemianie dochodzili często lat stu i więcej, nie znali choroby — plemie ówczesne było dziwnie czerstwie i zdrowe. Słuchanym w sporach sądowych świadkom przyznawano nie raz po 150 lat życia.

Wszechstronna warowność, jakby oczekująca wciąż napaści, dopełniła obrazu szorstkiej, prostaczej wiejskości, jaka się nam wydaje główną cechą ówczesnej Polski. Zanosiło się tu wprawdzie na murową budowność ogrodową ozdobę i wytworność; lecz w ogóle, mimo wszelkie porządki wielkiego mularza Kazimierza, przeważał jeszcze charakter drewnianej, błotniej i nieschludnej wsi. Wśród drewnianych ścian dworca o małych oknach, panował w chacie wieśniaczej mrok posępny — nie rozświecało go nawet wnijście gospodarza rycerza w zbroi, gdyż jak dom tak i zbroja była pospolicie ciemna, skórzana. Jeszcze rubaszniej wyglądał gospodarz, gdy zdjąwszy zbroję, przywdział kożuch domowy, ściśnięty pasem rzemiennym. A wieśniaczemu strojowi odpowiadał wieśniaczy, pełen prostoty język i zwyczajna zdrobniałość imion: Jaśka, Maćka, Semka it.p.

A przecież w tej mrocznej, zamierzchłej staroświeczyźnie było daleko więcej podobieństwa do dzisiejszego oblicza, niż zwykle wnosim. Okazuje się ono z bliska w czynach i wypadkach społecznych, które na skreślonem tu tle obrazu występują.

Rozgłasza jego sławę.

St. Edward's College

Austin, Tex., 22 Kwietnia 1892.

Jestem mocno przekonany o znakomitośc. „Father Koenig's Nerve Tonic", gdyż polecałem go często przy chorobach systemu nerwowego, i w każdym poszczególnym wypadku skutek był taki, iż moje ku niemu zaufanie się zwiększało, a sławę jego dalej rozgłaszałem.

P. J. Hurth, proboszcz.

San Elizario, Tex., 12 Czerwca 1891.

Przed 2 laty łaskawie przysłaliście mi kilka flaszek „Father Koenig's Nerve Tonic", które dałem później dwom biednym dziewczętom nawiedzonym padaczki, i obydwie zostały wyleczone przez ten doskonały środek. Dobroczynność Wasza będzie Wam koroną za znakomity środek, który rozdajecie ubogim tak wspaniałomyślnie.

Proboszcz E. V. Lebreton.

DARMO książkę wielkiej wagi o chorobie nerwowej i butelkę na próbkę posyłamy na wasz adres. Biedni także otrzymają lekarstwo darmo.

Lekarstwo to przyrządził Ks. Koenig z Fort Wayne, Ind, od r. 1876, a teraz sprzedawane jest pod nazwą

KOENIG MED. CO., Chicago, Ill.

49 ulica S. Franklin

Sprzedawane po aptekach za $1 00 butelkę, a 6 za $5

Duża butelka $1.75, a 6 za $9.

W Milwaukee u E. Krembs'a, róg 1-szej i Greenfield ave.

A. GRAY,

ma na składzie najlepsze

OBUWIE

różnego gatunku.

Przyjmuje reperacye.

956 Pierwsza ave. Milwaukee.

FIEBING i KILLILEA,

Adwokaci pierwszorzędni

do spraw sądowych, cywilnych i karnych, załatwiają wszelkie sprawy z największą punktualnością i rzetelnością po cenach umiarkowanych.

BIURO: 343 ulica Trzecia.

MILWAUKEE . . . . WISCONSIN.

GENOWEFA

POWIEŚĆ z wieków średnich nadzwyczaj interesująca wyszła z druku starannie opracowana językiem poprawnym i jest do nabycia

w redakcyi "Katolika"

.....ORAZ.....

w księgarni Wiltzius'a.

Jest to dziełko nieocenione dla czytelników wszelkiego wieku i rodzaju.

CENA egzemplarza 25 centów.

Przy kupnie większej ilości daje się rabat.

KURPIE.

Powieść Historyczna przez Kazimierza Władysława Wójcickiego.

"Stara powiastka jak wino z Tokaja
Serce zagrzewa i umysł upaja."
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

(Ciąg dalszy.)

— Dobrze mówią, widzisz Waszmość, że przez Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął i król Karól bił więcej żołnierzy, a pobity przez chłopów; jak to i mysz mała zaszkodzić może.

— Poprawi wszystko sam Najjaśniejszy Karol, aby się tylko z tych szponów niedźwiedzich wydostał.

— Być może, odpowiedział Ordęga, ale że go porządnie zadrapały, nie zapomni długo.

— Potrafi przyciąć szponów, a kaganiec na pysk włoży, rzekł rozgniewany Szczuka. Niedźwiedź, wiesz panie bracie, jak srogi w lesie, a złapanego cygany oprowadzają i tak tańczyć musi, jak mu zagrają i jak każą.

— Masz Waszmość racyą, panie podkanclerzy, ale muszą się go obawiać zawsze, gdy albo okiełzają kagańcem lub też kółko przez nozdrze zasadzą, a na łańcuchu ciągną.

— Któż tymi chłopami więcej dowodził, czy tylko sama pani Wojewodzina? zapytał po chwili hamując się w uniesieniu.

— O niej tylko gadają i o Telembskim.

— To jakaś mała szlachcina, rzekł podkanclerzy z pogardą.

Stary Ordęga obruszony, pokręcił siwego wąsa; Telembski był jego daleki krewny.

— Zapomniałeś, widzę W Mość, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; dawniej były lepsze czasy, a drwiono sobie z tytułów zagranicznych nieznano tych hrabiów, margrabiów, książąt i książątek; szlachcic zawsze szlachcicem i lepszy niż baron.

Coraz rumieniły się więcej policzki zmarszczone Ordęgi; widział to Szczuka, krzyknął na hajduka, który wnet przyniósł kilka butelek węgrzyna i puhar w kształcie lejka.

— Do was, panie bracie, rzekł Szczuka podnosząc w górę puhar, concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur. Zgodą małe rzeczy rosną niezgodą wielkie giną.

Na to przyjazne wezwanie rozjaśniło się oblicze starego Ordęgi, wychylił do dna podany puchar i już go miał stawiać na stole, gdy głośne psów szczekanie na podwórcu zwróciło ich uwagę.

— Czy goście jadą? zapytał Szczuka stojącego przy drzwiach hajduka.

Hajduk poskoczył i niedługo drzwi się na ścieżaj roztworzyły.

IX.

"Zuchwały, kto ci to powiedział."
J. Korzeniowski (Mnich.)

Podkanclerzy spojrzał z podziwieniem w otwarte podwoje; wysokiej postaci wszedł gość niespodziewany w płaszczu, śniegiem okrytym, za nim drugi, burką węgierską odziany. Pierwszy miał jeszcze na głowie trójgraniasty kapelusz, drugi już w sieni wysoką czapkę ze śniegu otrząsał. Pierwszy zrzucił płaszcz, a Szczuka wykrzyknął:

— Tyżeś to, N. Panie!

Karol XII postąpił do komina i nie zdejmując wcale swego kapelusza ogrzewał skostniałe ręce. Ordęga ustawnie ukłony oddawał, podkanclerzy rozkazał przygotować wieczerzę. Dołmaszy stanął wyprężony przy drzwiach wchodowych.

— Panie podkanclerzy, rzekł Karol, potrzebuję dwóch posłańców, ale ludzi pewnych.

— W tej chwili dostawię, N. Panie.

— Kałamarz i pióro!

Po chwili siadł i krótkie rozkazy napisawszy oddał je wyznaczonym posłańcom, określając godzinę powrotu.

Karol znowu stanął przed kominem.

— Już wiesz o wszystkiem zapewne, panie podkanclerzy?

— Tak jest, N. Panie! odpowiedział Szczuka z niskim ukłonem. Ale obawiam się....

— Ja się niczego nie obawiam, zawołał król szwedzki z gniewem; czy widział kto, żeby Karol XII zadrżał kiedy?

— Nie to miałem na myśli, N. Panie obawiam się, żeby z tak chwilowej niepomyślności nie chciał August korzystać.

— August! August! rzekł wolniej Karol kogo raz Karol strąci z tronu ten więcej nie trafi. Ale bójka była nie lada, moi bili się jak lwy, aż miło wspomnieć, za sztandar mieli mój kapelusz, bo zawsze na przodzie. — Wymawiając te słowa chciał swoim zwyczajem zatrzeć włosy i dotknął kapelusza na głowie.

— A, przepraszam gospodarza, że tak niegrzecznie wszedł król szwedzki w uprzejmą gościnę. Zdjął z głowy, a oddając swemu Węgrowi.

— Otrząśnij ze śniegu.

Dołmaszy wszedł do sieni.

— Temu poczciwemu Węgrowi wiele winienem, wierny jak pies, w boju jak lew, głupi jak osioł.

Dołmaszy powrócił.

— No! mój towarzyszu, i tyś zmarzł podobno, pogrzej się trochę, pogrzejmy się razem gdyśmy się razem bili i spali u tych chłopów bez butów.

— Jakto, N. Panie! i odważyłeś się przyjąć nocleg u tych Kurpiów, co ci do nogi wybili żołnierzy? zapytał Ordęga zdziwiony.

— Tak, do nogi, co do nogi! krzyknął w gniewie Karol i tupnął mocno o ziemię, ale nie będę krolem, jeśli się krwawo nie zemszczę, że wnuki popamiętają, jak Karol XII mści się poniesionej klęski. O! żebym miał jeszcze z tysiąc moich!

— Taka liczba była w Ostrołęce i w okolicy, ale i tę wyciąć kazała Pani Wojewodzina. To Herod, jak mówią baba, połknęła djabła, N. Panie! rzekł swoim zwyczajem stary Ordęga.

Szczuka zmarszczył czoło, okazując nieukontentowanie, a w oczach Karola błysnął ogień.

I ci zginęli! krzyknął w największym gniewie, czemuż choć sto mężnych nie mam przy sobie!

Zatarł włosów zrzucił duże rękawice, zaczął się przechodzić wielkim krokiem po komnacie. Stary Ordęga odurzony nagłym wybuchem gniewu króla, zamilkł i spokojnie stał w progu stołu. Dołmaszy grzejąc się przy kominie pomrukiwał niekiedy:

— Basemteremtische! pohineli, a sem dobre, tuné chlapy byli!

Karol powoli z uniesienia ochłonął.

— Cóż to za jedna ta Pani Wojewodzina? zapytał z przyciskiem Szczuki.

— Jest to, N. Panie wdowa po wojewodzie Działyńskim, kobieta w młodym wieku.

— Nie ma jak lat 24, N. Panie, urodziła się Anno.. i zaczął na palcach rachować po swojemu Ordęga.

— Wielkie przeszkody mi stawiają zawołał Karol z uśmiechem szyderskim — Baba, jedna baba i chłopy bez butów!

— N. Panie, rzekł Szczuka, ja tylko dzięki Bogu składam, że W. K. Mość zdrowo z tego nieszczęścia wprowadzić raczył.

— I szczęśliwie salwował! dodał Ordęga z ukłonem.

Dziękuję ci, mój podkanclerzy, wiem iż dobrze i szczerze mi życzysz, dla tegom dom twój wybrał na pobyt chwilowy.

Trochę strudzony, chciałbym spocząć...

— N. Panie, już wszystko gotowe, i jeżeli W. K. Mość pozwoli, będę mu służył za przewodnika. I przeprowadził podkanclerzy Karola do sypialnej komnaty.

Odetchnął stary Ordęga, nalał sobie puhar i rzekł do grzejącego się Dołmaszego przy kominie:

— Non est virum, nisi Hungaricum! tak u nas mawiają: widzę żeście z tego kraju, mój przyjacielu, skosztujcież krajowca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)